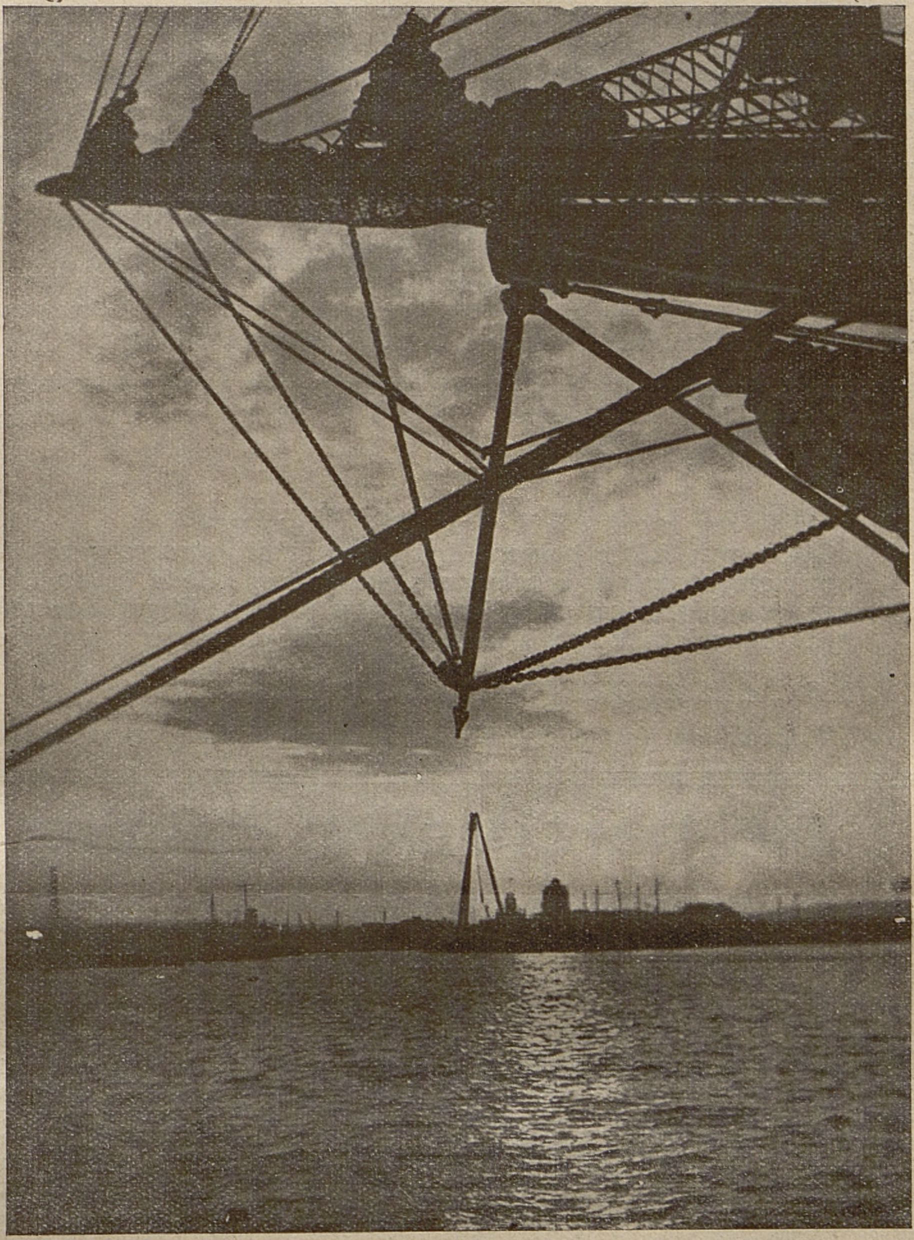


Z motywów portowych w Gdyni.

Fot. M. Kusnerz.

NA TROPIE

Rok V. Nr. 3.

Hasło dnia dzisiejszego.

Gdy dziecko potknie się i upadnie — płacze. Gdy człowieka słabego spotka jaka przykrość — gryzie się i martwi długie godziny. Gdy niedołęga napotka w działaniu na przeszkodę — staje bezradny lub cofa się.

A czasem jest inaczej. Chłopak - zuch, gdy trzaśnie głową o drzwi lub stół, może w pierwszej chwili krzyknie z bólu, ale wnet potem śmieje się i skacze, choć siniec rośnie jak na drożdżach. Człowiek silny, mężczyzna prawdziwy, mierzy dzielność swego charakteru ilością zwalczonych przeszkód i pokonanych trudów, a duch jego raduje się każdem wybrnięciem z z sytuacji, które wydawa.y się nieznośnemi.

Z narodami jest tak jak z ludźmi. Potęga Anglji wyrosła w ciągłych walkach światowych. Francja doszła do sławy i wielkości w Europie poprzez dwie okropne dla niej wojny. A dawną, przedrozbiorową Polskę zgubiły niedołęstwo i słabość ducha.

Dzisiejsza Polska przeżywa złe chwile. Cały kraj ugina się pod brzemieniem niedostatków. Nasi sąsiedzi czyhają na odpowiedni moment by odebrać nam z takim trudem wyrwaną niepodległość. Nie mamy na olbrzymim świecie nikogo, ktoby do nas wyciągnął bezinteresownie dłoń. Niemal każda rodzina polska odczuwa skutki bezrobocia, redukcyj, ciężarów podatkowych.

I czyż w chwilach tych mamy płakać jak małe dzieci lub stanąć bezradnie i rozpacznie jak niedołężny człowiek?

Czy może z uśmiechem na twarzy i zaciśniętemi w determinacji pięściami iść będziemy zdecydowanym krokiem naprzód ku lepszemu jutru? **A. K.**

„ZASTĘPOWY“

„Wiadomości Urzędowe“ nr. 2 z lutego b. r. podają:

„Celem przyjścia z pomocą drużynom szkół powszechnych Główna Kwatera Harcerzy przystępuje do wydawania miesięcznego dodatku do „Na Tropie“ poświęconego zagadnieniom pracy w tych drużynach. Wszystkie drużyny szkół powszechnych obowiązane są do prenumerowania przynajmniej po jednym egzemplarzu.“

Pierwszy numer „Zastępowego“ już się ukazał!

„Redaktor ma głos“ podaje bliższe wiadomości o tem nowem wydawnictwie „Na Tropie“.

Na harcerskim szlaku.



Dzieci ze „Świetlicy", zorg. przy Komendzie Chor. Harcerek Śląskich przy podwieczorku. — W środku kierowniczka „Świetlicy“ p. Z. Wiewiórowska.

NA BUCZU urządziła M. Komenda Chorągwi Śląskiej odprawę hufcowych w dniach 1—3 stycznia. Tematem odprawy były sprawozdanie poszczególnych hufcowych, omówienie wyników lustracji drużyn w ostatnim półroczu, akcja zimowa i letnia drużyn, gromady zuchowe, przyjazd naczelnego skauta gen. Baden-Powella, udział harcerzy w międzynarodowym skautowym złocie wodnym na Pomorzu i wiele innych spraw bieżących. (G)

GWIAZDKĘ DLA BIEDNYCH DZIECI dopomogły urządzić harcerki krakowskie pakując ogromną ilość paczek z podarkami i roznosząc je po całym Krakowie, a nawet poza miasto. (D)

„OGNIWO“ — starszo-harcerska koedukacyjna gromada w Bieczu, składa się z harcerek i harcerzy, należących do starszych zastępów drużyn miejscowych i liczy 30 członków. Na terenie drużyny męskiej powstał harcerski hufiec P. W. prowadzony przez własnych instruktorów harcerzy (Zbój Becz).

WIECZOREK Z „MIKOŁAJEM“ urządziła III-cia MDH. w Bielsku. „Mikołaj" asystował przy obietnicy zuchów, poczem rozdał liczne i mile przyjęte podarki. Na dalszy program złożyły się pieśni i nastrojowa gawęda. Koniec wieczoru był znów wesoły, gdyż nie tylko nowo-upieczonym zuchom, ale i wszystkim szarżom urządzono „żabę“. (D)

HARCERSKA PODKOMISJA ODZNACZEŃ KRZYŻEM I MEDALEM NIEPODLEGŁOŚCI podaje do wiadomości zainteresowanych, iż termin zgłaszania wniosków na odznaczenia niepodległościowe harcerzy i b. harcerzy, biorących udział w pracach niepodległościowych w okresie od listopada 1918 r. — 1921 r. upływa dnia 1 marca 1932 r. Odznaczenia nadawane będą w myśl Dziennika Ustaw R. P. 75/30 i 31/31.

Po tym terminie żadne zgłoszenia rozpatrywane nie będą. Wnioski wypełnione na przepisowych formularzach (które nabyć można w Gł. Księgarni Wojskowej, Warszawa, Nowy Świat 69), nadsyłać należy pod adresem: Adam Miłobędzki, Warszawa, ul. Raszyńska 58 m. 18.

Z HUFCA TARNOWSKIEGO. Według sprawozdań K-dy Hufca, Hufiec tarnowski liczy 6 drużyn — ponadto 1 drużyna i 2 gromady wilczęce na terenie szkół powszechnych organizują się i będą niedługo zgłoszone. Dnia 11 października odbyły się ćwiczenia całodniowe hufca połączone z biegiem harcerskim, wywiadem nieprzyjacielskiego obozu i ogniskiem. Wycieczka odbyła się w 20-tą rocznicę powstania harcerstwa w Tarnowie. W grudniu zakończyły się w Tarnowie zawody między drużynami o tytuł „Mistrza Hufca“. Po dwumiesięcznych zapasach tytuł ten zdobyła I. Żeglarska im. h. Stef. Czarnieckiego. Wicemistrzem została III. im. H. Wołodyjowskiego.

HUFIEC W BRODNICY ma przybyć do Gorczyna na 30 kajakach wybudowanych własnemi siłami. — Brawo!

Rok V. Katowice, dnia 10 lutego 1932 r. Nr. 3.

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

NA TROPIE

Wychodzi 10-go i 25-go każdego miesiąca.

Cena 40 gr.

Morze.

W 12-tą rocznicę objęcia wybrzeża morskiego przez polskie wojsko.

Morze! Polskie morze. Nie dziwno nam brzmią te słowa — nie obco. Wprost przeciwnie, ze zdziwieniem i oburzeniem przyjęlibyśmy, gdyby ktoś ośmielił się powiedzieć, że ten niewielki skrawek wybrzeża — polskiego wybrzeża — nie należy do nas. A przecież dopiero 12 lat mija od powrotu polskiego panowania na tej ziemi i obmywaj. ją falach Bałtyku.

Poprzednich 5 ćwierci wieku morze nie było nasze, nie łopotała nad niem bandera biało - czerwona, — a jeszcze wcześniej — choć mieliśmy morze, to obracaliśmy się do niego plecami, nie dbaliśmy o nie, nie mieliśmy dlań serca ni zainteresowania. Dopiero bardzo daleko trzeba sięgnąć myślą — aż w wieki średnie, w czasy bolesławowskie, aby odnaleźć w nich właściwy stosunek do morza, należyte jego zrozumienie i ocenę.



Dwanaście lat ostatnich upłynęło nam na naprawianiu błędów naszych przodków, na gojeniu ran, zadanych przez niewolę. Zaczęliśmy interesować się morzem, zaczęliśmy tłumnie je odwiedzać — poznaliśmy je i związała nas z niem mocna nić gorącego uczucia. Nasze morze! zaczęliśmy się upajać tem słowem — a nasze morze odpowiadało nam poszumem i pluskiem fal goniących się po ciemnej i niezgłębionej zda się toni.

Zaczęliśmy także rozumieć znaczenie morza dla naszego państwowego organizmu i oto mimo powojennego zubożenia i wyniszczenia kraju, nie wiadomo kiedy i z czego wyrosła Gdynia — godna siostra zabranego nam i zniemczonego Gdańska. Śmieszną rzeczą jest twierdzić, że Gdynia powstała jedynie dla konkurencji Gdańskowi, aby zniszczyć to miasto w zaślepieniu kąsające rękę, która je karmi. Może i słuszna byłaby taka kara dla miasta, które żyjąc wyłącznie z przepływającego przez nie ruchu handlowego z Polski, ciągle jeszcze jest pogrążone w nienawiści dla niej. Nie leży jednak w naszej naturze mściwość — Gdańsk, który przed wojną ładował w swym porcie tylko 2 miljony ton towaru rocznie, obecnie ładuje ich 8 miljonów! Proporcjonalnie do tego wzrosły jego dochody i — o dziwo! nienawiść do Polski. A przecież powstanie Polski stało się dobrodziejstwem dla tego miasta.

Piszę o tem, gdyż szalejącej na terenie międzynarodowym wrogiej propagandzie niemieckiej, przeciwstawić trzeba głębokie, na faktach oparte przekonanie całego społeczeństwa polskiego o czystości i słuszności polskiej polityki morskiej.

Nasunąć się może pytanie: jak się to dzieje, że Gdańsk tylokrotnie więcej teraz zarabia, że Gdynia rozwija się tak wspaniale — jednem słowem, że wybrzeże morskie tak bardzo dla Polski pracuje? Jestżeż naprawdę tak Polsce potrzebne? Aby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba spojrzeć na mapę Polski. Polska jest krajem rolniczym i posiadającym wiele bogactw naturalnych, musi eksportować produkty rolnicze, drzewo, węgiel, naftę itd. Tymczasem dzięki swemu położeniu Polska jest ogrodzona jakby murem chińskim. Jedźmy powoli wzdłuż granicy: Niemcy prowadzą z nami wojnę celną — nie przepuszczają przez swoją granicę naszych towarów; Czechosłowacja sama szuka zbytu na swoje towary — te same, które i my pragniemy wywieźć; granica rumuńska to tylko skrawek mały; dalej ciągnie się granica bolszewicka, przez którą nie prędko będziemy mogli uruchomić ruch handlowy; dalej krótki kawałek granicy łotewskiej, potem znów Litwa, nie przyjmująca nic od nas i Prusy Wschodnie. W drodze na wschód czy zachód towary krążą, objeżdżają, szturmują napróżno w granice dla nas zamknięte... A oto przyjmuje je bez trudu morze! Nasze, polskie morze, które pozwala nam bez obcego pośrednictwa wszędzie dotrzeć, jest dla nas oknem na świat i łączy nas z nim najłatwiej i najbezpieczniej! Dla naszego handlu — morze jest płucami, bez których udusilibyśmy się przy radosnem podzwonnem naszych sąsiadów. Mamy tylko 75 kilometrów wybrzeża wobec 5.500 kilometrów granic lądowych, — ale jeśli weźmiemy cyfry wywozu towarów — to okaże się, że każdy kilometr wybrzeża morskiego pracuje dla nas 100 razy intensywniej i bezpieczniej niż granica lądowa! Wobec tych cyfr w zupełnie inny sposób zaczynamy patrzeć na morze — poza sentymentem rodzi się w nas poczucie podziwu, szacunku i dumy. A więc **takiem** jest nasze morze!

Zamało jest jeszcze w społeczeństwie zrozumienia znaczenia morza — to też szukając sposobu wprowadzenia w czyn 1-go prawa harcerskiego — szukając służby dla Ojczyzny, najlepiej zrobimy, oddając siły nasze propagandzie morza. Niech nas nie zabraknie tam, gdzie trzeba szerzyć uświadomienie o ważności posiadanego skrawka wybrzeży Bałtyku i w sercach naszych niech nie zabraknie dla niego najgorętszej i najbardziej oddanej miłości!

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA.

PRZYJACIELE.

23)

Spojrzał w utkwione weń, zdumione i niedowierzające zarazem, oczy chłopców i roześmiali się wesoło.

— Ach! więc mam nareszcie radość poznać właścicieli i wychowawców tego fenomenalnego zwierzęcia! — zawołał. —. Jak dawno tego pragnąłem! Rzeczywiście, nie ja go wykształciłem... zrozumiała ambicja starego przyjaciela zwierząt skłoniła mnie do tej niewinnej blagi... Ciągle was szukałem, czekałem kiedy się kto zgłosi, dawałem nawet ogłoszenia w pismach... fakt! Przyjechaliście zapóźno! Zabrano odemnie psa i zdechł... Napewno z tęsknoty za mną. Dziwna rzecz jak to zwierzę było do mnie przywiązane... A moi ludzie wszyscy poprostu za nim przepadali!

Sędzia z trudem hamował wzrokiem chłopców, których zaperzenie rosło.

— Weterynarz skonstatował otrucie, zauważył ze spokojną ironją. Śledztwo jest w toku. Niech pan podaje skargę, panie Slawiczek, jeśli wola... Niech pan wyliczy wszystko, co pan stracił przez zabranie psa, co przygodnie, trafem, którym policja się zajmie, był u pana przez pięć tygodni... Owszem, proszę bardzo! Dowidzenia w sądzie.

Gruby człowiek z sinego stał się czerwony, a z czerwonego znów siny. Przez chwilę mogło się zdawać, że pęknie. Żyły nabrzmiały mu na skroniach jak postronki, otoczył złym wzrokiem po obecnych i wyszedł bez słowa.

— Łotr! łotr! co za szczwany łotr! — powtarzał sędzia, — pomyśleć, że w takich rękach znajduje się ta nieszczęśliwa dziecina!

— I nasz biedny Topsiaczek! — podchwycił Julek załamując ręce.

* * *

Lupus szalał, biegając wokół rozmawiających i baraszkując przyjacielsko z żołnierzami. Komendant strażnicy, młody kapitan, słuchał z uwagą opowiadania sędziego i chłopców.

— Dwukrotne przejście granicy, raz z dzieckiem, raz z psem? — powtarzał z niedowierzaniem. — Jak mu się to udało? Musieliśmy być mocno zajęci w innej stronie. Mało nas! mało! A co tam powiecie plutonowy? Coś nowego? — spytał nadbiegającego żołnierza. .

— Melduję posłusznie panu kapitanowi, że te psiekrwie bolszewiki napadły co ino na podwodę, która ode wsi jechała... Byłyby ludzi utrupiły, jeno że nadjechaliśmy, to niechały i uciekły. Strzelaliśmy za niemi.

— Wielu ich było?

— Ze sześciu... Wszystko konno z karabinami.

— Weźcie jeszcze czterech ludzi i spatrolujcie dobrze tamten odcinek. Trzeba sprawdzić czy wszyscy uciekli... może jeszcze trochę tego drań/stwa zostało.

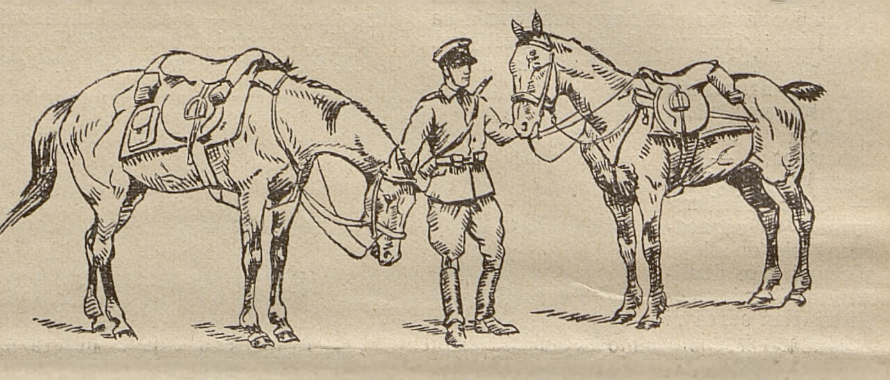
— Rozkaz!

— Ruch po staremu, jak widzę? — zauważył sędzia z uśmiechem.

— Ano, tak! po staremu! W tym tygodniu ani jednego dnia spokojnego nie było...

— Wydaje się to nam nieprawdopodobne? Jak, tak, trudno w to uwierzyć, zwłaszcza gdy się przybyło, z tak daleka... A jednak to rzeczywistość, twarda rzeczywistość! Siedzimy, tu jak przed kilkuset laty siedzieli nasi dziadowie na fortalicjach kresowych, czujni dniem i nocą... Ani godziny spokoju! Codziennie nasi sąsiedzi obmyślają dla nas nowe rozrywki. Palenie nocą wsi... Zbójeckie napady na pojedyńczych ludzi, lub odosobnione domy... Zbrojne bandy wpadające znienacka... Bezustannie trzeba być w pogotowiu. Tylko dzięki nam ta ludność może tu żyć spokojnie i pracować... My stanowimy ten kordon ustawicznie naciskany, za którym kraj śpi bezpiecznie. Mało ludzi w Polsce, a tembardziej w Europie zdaje sobie sprawę z tego, coby się stało z ludzkością, gdyby pewnego dnia łańcuch naszych strażnic prysnął...

Wszyscy mimowoli spojrzeli na stojącą o kilkanaście kroków strażnicę, nowy schludny budynek, krzepki i mocny. Ordynans trzymał przed nim osiodłane konie.



— Miałem właśnie jechać na inspekcję, — rzekł kapitan, — jeżeliby to was zaciekawiało, proszę ze mną. Dojdziemy do samej granicy... Każę zaraz założyć konie do wózka...

Droga leśna, wyboista nie trwała zbyt długo. Po niecałej godzinie jazdy przybyli do posterunku granicznego plutonu.

— Otóż stąd możemy kamieniem cisnąć do Bolszewji... — uśmiechnął się kapitan, i urwał, bo Julek pisnął przeraźliwie: — Lupus! Lupus! do nogi!! — i puścił się za nim. Wilczur biegał w kółko niespokojnie węsząc jakieś ślady, naraz zaszczekał zwycięsko i puścił się przed siebie z nosem przy ziemi.

— Wołajcie go! zauważył kapitan, — bo go tamte dranie zastrzelą...

— Lupus! Lupus! — wrzeszczeli co sił obaj chłopcy. Pies przystanął na chwilę, Julek dopadł go i chwycił z całej siły za obrożę, nie puszczając dalej, choć pies skomlał i wyrywał się gwałtownie.

— Nie, nie, piesku, nie pójdziesz... tu jest granica... rozumiesz? granica...

— Ciekawe, co on tam zwęszył... — mruczał Francek.

— Wracajcie chłopcy! wracajcie! — wołano za niemi. Zawrócili ogadając się jeszcze za siebie ciekawie. O kilkadziesiąt kroków od nich strażnik sowiecki patrzył tępo i bezmyślnie w ich stronę. Tu zatem leżała granica, niewidzialna kresa, dzieląca dwa kraje. Jeden, któremu wprawdzie daleko było do raju, lecz w miarę swych sił i ludzkich możności usiłował żyć po Bożemu i dążył do Dobra, — i ten drugi co się jawnie Boga wyparł, z serc go usunął, oddając się bez zastrzeżeń we władanie złu. Po tej stronie ścieżki rządzono się niedoskonałą wprawdzie, ludzką, lecz sprawiedliwością, — można było żyć i czuć po chrześcijańsku, można było odwoływać się do uczuć ludzkich. Po tamtej stronie Sprawiedliwość, Dobroć, Ludzkość, nie istniały, stawały się pustym dźwiękiem, którego znaczenia nikt już nie rozumiał.

Myśląc o tem, chłopcy dziwili się mimowoli, że tylko rzadkie słupy drewniane i posterunki znaczą tę linję, będącą krawędzią chrześcijańskiego świata. Dziwili się, że i po tamtej stronie zielenią się drzewa i śpiewają ptaki...

* * *

Kapitan Rożyński przejął się serdecznie historją zaginionej dziewczynki i „profesora Sapientissimusa", obiecał zawiadomić wszystkie posterunki wzdłuż granicy i dawać najpilniejsze baczenie na dyrektora Slawiczka, gdyby się tu pojawił. Kolonia Johanna Slawiczka leżała, jak się okazało, tuż naprzeciwko — o jakieś półtora kilometra dalej w głąb. Nikt jednak nie mógł przewidzieć, kiedy dyrektor zgłosi się po małą i psa. Może za tydzień, a może za miesiąc? Może jeszcze później? A może wogóle zarówno Lotka, jak Topsy znajdują się nie tu, lecz gdzieindziej? Ostatecznie mniemanie co do ich pobytu tamże, oparte było tylko na domysłach Lejbusia Kanarka, dość prawdopodobnych, ale nie sprawdzonych.

— A jakbym tam zaleciał ukradkiem i zobaczył? — proponował Francek.

— Oszalałeś! — ofuknął go komendant. — Pierwszybym kazał do ciebie strzelać! Nie pozwalamy przechodzić granicy nikomu, bo Bolszewicy natychmiast z tego korzystają i mamy gotową awanturę...

— Nie ma co moje dzieci, — przekonywał sędzia, — musicie wracać do domu, zostawiając nam tę sprawę. Będę o niej ustawicznie pamiętał, przedewszystkiem ze względu na dziecko. Napiszę wam natychmiast, gdy coś nowego zajdzie... Możecie mi zaufać....

Słuszne to było rozumowanie, lecz jak ciężko się z niem pogodzić, zostawiając całą sprawę nierozstrzygniętą, zadanie niespełnione. Widząc oczy chłopców pełne łez, komendant namówił sędziego by przenocował na strażnicy. Wieczór już blisko. Nocą nie warto wracać, a może, a nuż przyjdzie do rana jakaś wiadomość?

— Cóżby mogło przyjść? — wzruszał sędzia ramionami, lecz został.

Po wieczerzy chłopcy udali się na

spoczynek do przeznaczonej dla nich małej izdebki, pachnącej żywicznością nowych ścian i świeżem sianem posłania. Nie mogli długo zasnąć, głowy i serca mieli ciężkie od myślenia. Trzeba wracać, — to trudno, trzeba. Nic na razie nie poradzą. Stanęli przed murem, o który rozbijały się najlepsze ich wysiłki i wola. Niema rady, — trzeba wracać z niczem.

— ...I do tego ten Lupus, który się ciągle kręci! — narzekał Julek, — leżeć rozumiesz?! a gdzież Francek się podział...

— Mówił, że mu tu za gorąco i że będzie spał na dworze... odparł sennym głosem Władek.

— Chyba i ja pójdę do niego...

— Ani myśl o tem! Lupus też pójdzie za tobą i jeszcze gdzie poleci...

— To prawda!

Nareszcie zasnęli, zmęczeni. Gdy rozległo się zgodne chrapanie, wilczur wstał ostrożnie, podniósł wilgotny czarny nos, powęszył w stronę łóżek, stanął na środku izby niezdecydowanie, podszedł ku drzwiom i wsunął pod nie łapę. Ustąpiły łatwo. Wyślizgnął się do sieni. Drzwi wejściowe były uchylone, gdyż komendant wyszedł na inspekcję. Pies opuścił nos ku ziemi, zobaczył wartownika, rozpłaszczył się na trawie ruchem psa policyjnego, wsiąknął w cień, przemknął się niepostrzeżony... Rozległo się ciche gwizdnięcie i Lupus zatrzymał się wahająco Z pod ściany podniósł się cień człowieka i biegł bez szelestu za nim. Nie chciał bynajmniej psa zatrzymać. Przeciwnie.

— Szukaj! Szukaj! — szeptał gorączkowo.

Wilczur machnął ogonem uradowany i węszył wytrwale. Zawracał w koło, gubił ślad, odnajdywał... Za nim jak cień, zadziwiająco zręcznie mimo swej postawy biegł Francek. Z nosem przy ziemi wilczur ledwo widoczny w mroku nurzał się w paprocie, przesuwał między krzakami. Ani wiedzieli obaj kiedy doszli do posterunku, przy którym byli poprzednio, kiedy przebyli granicę nie zauważeni przez nikogo. Lupus biegł dalej po pod rzadkim lasem. Chwilami przystawał i czekał na chłopca. Po kwadransie drogi zamajaczyły przed niemi budynki gospodarskiego obejścia. W koło panowała cisza. Nie odrywając nosa od ziemi, Lupus pędził wprost ku zagrodzie.

— Stój! stój! — szeptał zadyszany Francek.

Byli już tuż blisko. Nawpół — rozwalony płot zaczerniał przed niemi. Francek schwycił psa za obrożę i usiadł z nim pod płotem, zasłonięty jego cieniem, nie wiedząc co dalej począć. Serce mu waliło jak młotem. Niewątpliwie Topsy jest tu, w tej zagrodzie. Lupus czuł jego ślady. A dziewczynka? Czy jest także? Jak ich zabrać? Czy są tam dotąd. Może ich już zaprowadzono gdzie dalej?...

— Pozwól mi iść na zwiady, — dmuchnął mu Lupus w rękę... — Ja zobaczę...

Patrzył w twarz chłopca iskrzącemi w mroku oczami tak mądrze, że Francek puścił go. Jednym susem wilczur przesadził płot i znikł w obejściu. Obiegł naokoło chatę, węsząc — nic! obiegł chlewik i naraz zaczął gorączkowo grzebać pod ściana, sapiąc z wrażenia.

Przeraźliwe ujadanie rozległo się za nim. Żółty kundel, stróż obejścia, niezbyt czujny, bo dopiero teraz się obudził, podnosił gwałtowny alarm.

— Nie bądź głupi., — warknął Lupus, przestając na chwilę kopać, — przyszedłem po tego Uszatego, który tu jest i który cię pewno objada...

— Dają mu więcej jak mnie! dają mu dużo więcej! — poskarżył się stróż jękliwie.

Więc nie rób hałasu, bo mnie odpędzą, a on zostanie na zawsze.

Żółty zamilkł przekonany i odstąpił. Lupus ze zdwojoną gorliwością zabrał się do pracy. Kopał zawzięcie, przykładał nos do dziury, dmuchał głośno, nareszcie z wewnątrz odpowiedziało znajome dmuchnięcie. Rozpoczął się psi bezgłośny dialog.

— To ty? — pytał Lupus.

— Ja, — łkał Topsy, — ja!. och, poznaję cię! Więc ciebie także złapali!?

— Zawsześ niedołęga... nikt mnie nie złapał... przyszedłem po ciebie... kop od tamtej strony...

Topsy niezdarnie szurał pazurami.

— Strasznie tu twarda ziemia — jęknął.

— Julek jest też blisko... dmuchnął dla zachęty Lupus.

— Och, złapią was napewno... zabiją... uciekajcie... ja się boję...

— Zgłupiałeś widzę do reszty. Czy dziecko jest tu także?

— Jest, gruby ją przyprowadził...

— Gdzie? — gadaj prędko...

— Sypia w stodole... W izbie nie chcą jej trzymać, bo ciągle płacze. W stodole też płacze, bo się boi, ale nikt nie słyszy...

— A stodoła, czy zamknięta?

— Zdaje mi się, że tylko na drąg...

Rozmowa nie przeszkadzała im w pracy. Jeszcze parę grzebnięć i Topsy wycisnął się z trudem na powierzchnię. Obwąchali się po bratersku, radośnie, nie tracąc czasu na niepotrzebne czułości.

— Prędzej, prędzej, — naglił Lupus, — trzeba zawołać Francka, żeby otworzył stodołę...

— Francek tu jest? — przeraził się Topsy i skulił ogon pod siebie, gotów uciekać.

— Nie się nie bój, tylko chodź.

W rozpędzie wilczur skoczył na głowę Francka, któremu czas dłużył się niezmiernie. Siedział pod płotem, truchlejąc na myśl, co będzie, gdy kto wyjdzie z chaty i zobaczy go tu. Zbierała go chwilami chęć uciekać z powrotem! Opanował ją. Przez niego Topsy zginął. On go więc musi odnaleźć.

Na widok obu psów oniemiał z radości. Ale Lupus szarpał go gorączkowo za rękaw, ciągnąc ku stodole. Zrozumiał: tam musiała być mała. Lecz żółty kundel podniósł nowy wrzask.

— Uspokójże się! — syknął Lupus, — chcemy jeszcze zabrać to cudze dziecko, które cię też pewnie objada...

— Ale ten obcy! poco ten obcy! co on chce!? — darł się pies.

— Chce otworzyć stodołę i zabrać dziecko, a ty bądź cicho, bo cię zagryzę...

— Czy napewno, napewno, nie ruszycie nic z tego, co należy do mojego pana?...

— Napewno, bądź spokojny... Zabierzemy tylko dziecko, które nam skradli, i Uszatego...

— Bierzcie więc sobie.

Usiadł przed budą, nie spuszczając z nich podejrzliwych oczu. Noc bielała. — Wstawał perłowy tuman. Wśliznęli się do stodoły. Topsy liznął językiem twarz uśpionej Lotki.

— Do mamy... Do mamy... — szepnął jej w ucho Francek. — Nie krzycz to cię zaniosę do mamy, do mamy...

Dla pewności zasłonił jej buzię ręką; nie wyrywała się, patrząc na niego zdumionemi oczami, niepewna, czy nie śni.

— Do mamy... do mamy, do mamy... — powtarzał Francek, jak kołysankę, wynosząc ją ze stodoły. Żółty pies wśliznął się tam natychmiast, by sprawdzić, czy czego nie wzięli, pogrzebał pogardliwie nogami i wrócił spokojnie do budy.

(Dokończenie nastąpi.)



HELENA ZAKRZEWSKA.

Szalone Auto.

9)

Drzwi apteki rozwarłby się gwałtownie. Jegomość w dziwacznej czapce żegna się z aptekarzem, podchodzi do motocykla i puszcza w ruch motor. Witek zatrzymuje oddech, serce przestaje mu bić ze strachu. Ale nie, wszystko jest w porządku. Motocykl zaczyna buczeć i furkotać, człowiek wskakuje na siodełko, rusza z miejsca i odjeżdża w piekielnym hałasie, budząc ciche i nawpół uśpione już miasteczko. Otwierają się tu i ówdzie drzwi lub okiennice i w świetle padającem z wnętrza domostw Witek widzi wyraźnie białawą nitkę mąki na ciemnym pasie ulicy. Byle tylko na długo jej starczyło.

Światła gasną, drzwi i okna zamykają się z trzaskiem, stróż zamyka apteke i gasi światła. Robi się ciemno i cicho. Witek wtulony w ciemny kąt koło domostwa rabina czuje, że oczy mu się zamykają. Jest taki zmęczony i taki głodny. Z wnętrza domu dochodzi płacz i wrzask kilkorga małych dzieci, nieustanny trajkot rozgniewanego głosu żydówki, czasem wybuch kłótni kilku głosów, w które miesza się spokojny bas męski, potem wrzawa cichnie, już tylko jedno małe dziecko drże się za ścianą. Wreszcie i ono cichnie. Przez szparę w okiennicy dolatuje Witka regularny odgłos chrapania. Może i on zasnął także, bo sam nie wie, kiedy i skąd wzięła się spora paczka jedzenia na jego kolanach.

Chłopak łakomie rzuca się na jedzenie. Kawałek tłustej gęsiny, biała chała żydowska, trochę słodkich bajgeli i prawdziwa makagiga — to ci uczta dopiero! Witek pożera z zapałem, a kiedy ostatni okruszek wytrzęsnął z papieru, słyszy obok siebie cichutki szept:

— Ty będzesz poczebował teraz sze przespacz, daj rękę, ja cze zaprowadzę.

— To ty Surciu? — pyta Witek i wyciąga rękę. Dłoń jego w ciemności natrafia na malutką, chłodną rączkę i potrząsa nią z wdzięcznością. — To było pyszne, coś mi przyniosła do jedzenia. Jesteś dobra dziewczyna. Wszystko to opowiem panience.

— Tss, nie nie mów, una słyszy i przez sen. Chodź ze mną, ja cze zaprowadzę do takie miejsce, gdże ty możesz spacz do rana. Ja cze obudze, zanim una wstanie. Una jest niedobra, una zarazby czebie policji oddała.

Cicho, w ciemności Surka ciągnie chłopca w ciasne i niezbyt wonne zakamarki wąskiej uliczki, potem przez jakieś błotniste podwórka i zaułki, wreszcie uchyla jakąś deskę przy ścianie.

— Idź tam do środka, tam jest czyste słoma. Tam dawniej stała nasze koza, ale una zdechła i teraz jest nowa słoma, dla nowe koze, co jom jutro do rabina przyprowadzą. To jest takie budkie przy samym gościńcu. Jakby ty miał jaki kłopot, to otwiraj te deskie i uciekaj prosto przed siebie — szepcze cichutko dziewczynka.

Witek raz jeszcze uścisnął tę chudą, zbawczą rączkę i wcisnął się do budki. Niezbyt tu miło, czuć jeszcze dawną kozą, ale niema wyboru. Zresztą oczy same zamykają się do snu. Witek rzuca się na słomę i zasypia odrazu snem mocnym jak kamień. Mijają ciche godziny. Miasteczko śpi. Noc jest czarna, wietrzna i niespokojna.

Nagle Witek budzi się z głębokiego snu nagłym podrzutem. Siada na słomie i słucha. Serce mu bije jak młotem. Tak, nie ulega wątpliwości, to ono! Huk motoru rośnie, zbliża się, już widać łunę reflektorów... Witek podnosi deskę, dzielącą go od gościńca i nagle oślepiający blask uderza go w oczy, ogłusza go piekielny huk, w pędzie i ryku syreny przelatuje, jak upiorne zjawisko, zawsze to samo szalone auto. Przeleciało tak blisko od klęczącego przy otworze chłopca, że mógł go niemal dosięgnąć ręką. Gdzieś tam od rynku słychać urwany skowyt psa, z głębi domu słychać płacz przebudzonych dzieci i głuchy gwar niespokojnych głosów. Witek nie może już zasnąć. Siada na słomie i czeka. Przez uchyloną deskę widzi przed sobą czarną ścianę nocy. Potem ta czerń zaczyna blednąć, na skraju nieba ukazuje się mała, blada gwiazdka. Zwolna wszystko staje się szare, widać już kontury domów i granicę ziemi i nieba. — Jeszcze chwila i Witek wysuwa się z budki.

Jest zimno, przejmujący chłodem świt. Chłopak wstrząsa się i rozgląda uważnie. Tu jest zwarta grupa domów, to miasteczko. A tu zaczyna się pole. Trzeba więc iść w tę stronę. Wytężając oczy Witek śledzi uważnie teren gościńca. Szalony pęd auta w nocy zmiótł z drogi kurz i zatarł pewnie wszystkie ślady mąki, niwecząc tak prosty i tak genialny pomysł mądrej Surki. Ale nie, tu oto zaczyna się coś bielić. Tak, to niewątpliwie grudka mąki. A dalej już całe pasemko białe.

Uszczęśliwiony Witek coraz prędzej idzie za tem pasemkiem. Jest coraz jaśniej, na wschodzie zapala się różowozłoty pas wschodzącego słońca. Biała linijka czasem zaciera się zupełnie, ale po kilkunastu krokach pojawia się znowu. Iść naprzód, tylko naprzód! Dotrzeć koniecznie do jądra tajemnicy! Znaleść koniec tajemniczej nici, która pomogłaby powiązać z sobą wydarzenia ostatnich czasów. A nadewszystko znaleść ową karczmę nad jeziorem, karczmę z trzema topolami, będącą zapewne siedzibą złoczyńców.

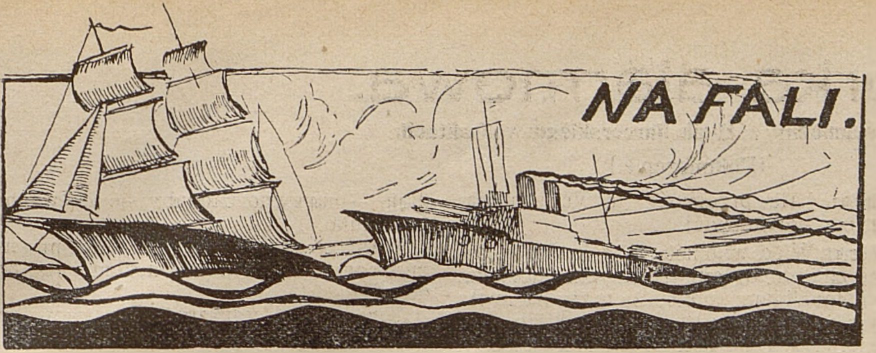
Słońce podnosi się coraz wyżej. Dzień jest piękny, słoneczny, pola lekko kołyszą się w rannym powiewie. Witek żywo podąża naprzód. Na słupie przydrożnym wyczytał kierunek gościńca. Wie, że idzie ku bolszewickiej granicy, do Dzisny. Miasteczko za nim nazywało się Łużki. Trzeba to zapamiętać, żeby móc panience zdać dokładny raport. — Gdyby to można było znaleść jakiegoś posłańca.

Biały ślad na drodze chwilami gubi się zupełnie, później nagle pojawia się znowu. Pojawiają się chaty, jakaś wioska, domki zda się opustoszałe, tylko psy naszczekują z za płotów. Ludzie widocznie są w polu. Jakaś stara babcia siedzi na progu chaty, wygrzewa się do słonka i bezzębnemi wargami szepcze słowa pacierza, przebierając w wyschłych palcach ziarnka różańca. Witek przemyka się przez wioskę prawie niepostrzeżenie. Tu ślad zgubił się już zupełnie. Twardy, kamienisty gościniec wydaje się wymieciony do czysta. Witek przyśpiesza kroku, pragnąc jaknajprędzej odszukać zgubiony trop.

W pewnem miejscu droga się rozwidla. Gościniec biegnie prosto ku Dziśnie, ale na prawo widać błotnistą drogę, dosyć szeroką i rozjeżdżoną, która skręca w mokradła i powoli przechodzi w groblę. Mokradła porosłe są gąszczem krzaków. Z obu stron grobli gną się ku czarnej wodzie stare, pokrzywione wierzby.



(C. d. n.)



Dr. WACŁAW KORABIEWICZ.

Szlak wodny na południe.

Szumnie jakoś brzmi ten tytuł. Idę do mapy i sam sobie nie chcę wierzyć: krok za krokiem, siłą własnych mięśni, lub poczciwą usługą maleńkiego żagla (5 m^2) przebyłem taką ogromną przestrzeń.

Pamiętam czasy szkolne, kiedy to z wielkim trudem wkuwałem obce dla ucha greckie nazwy wysp morza Egejskiego — dziś każdą z tych wysp znam „osobiście", zżyłem się z każdym jej kamieniem pobrzeżnym i każdą skałą.

Stambuł też nie nasuwa już marzeń z tysiąca i jednej nocy, tylko realne wspomnienia przeżytych tam dni. I to wszystko, ten cały ogrom piękna wrażeń, te orientalne dalekie podróże, to wszystko ... prawie bez pieniędzy!

Piszę teraz o tem nie dlatego, iżbym chciał wylać nadmiar zachwytów na papier. Piszę, aby tą drogą nauczyć innych brać piękno z życia bez nadzwyczajnych trudności i kłopotów. Jestem szczęśliwy, a więc nauka moja będzie „Nauką Szczęścia"!

Aby zwiedzić świat, niepotrzebne są wielkie pieniądze, niepotrzebni „znajomi" i niepotrzebna znajomość języków.

Należy tylko zbudować sobie zwykły, najzwyczajniejszy kajak drewniany (60 złotych) i dowieźć go koleją do najbliższej rzeki, wiodącej do morza... to wszystko! Drogę trzeba wybrać możliwie dziką, mniej uczęszczaną, gdzie ludzie jeszcze nie są zepsuci hojnym datkiem turysty-„burżuja". Dlatego radzę płynąć na południe. Europa zachodnia już traktuje turystykę handlowo; oblicza w myśli, wiele można na niej zarobić. Dla wschodu, szczególnie Turków, jesteś zawsze wędrowcem, któremu się należy gościnność i miłe, najmilsze, bezinteresowne przyjęcie... „Sajlam alejkum effendim! bujrum!".

Z Polski na południe wiodą cztery szlaki wodne, licząc od zachodu: Orawa — Wag, Seret, Prut i Dniestr. Trzy pierwsze prowadzą do Dunaju. Dniestr, bezpośrednio do morza. Szlak pierwszy jest nazbyt długi, aby go warto było łączyć z dalszą wyprawą morską, na jedno i drugie czasu zbraknie (minimum dwa miesiące!) Zresztą najmocniejsza nawet łódź złamie zęby na przełomach Orawy, Wagu i Dunaju przez góry — do morza przyjdzie już tylko inwalidą. Dniestr odpada z racji niemiłego sąsiedztwa Z. S. S. R. Z pozostałych dwóch szlaków radzę wybrać Prut, jako rzekę głębszą. A więc płyniemy Prutem. Kajak przywieźliśmy koleją do Kołomyji. (Uwaga! — Kajak nie może być dłuższy nad 5 mtr., bo inaczej nie wejdzie do bagażowego wagonu!)

Wybraliśmy najodpowiedniejszy dla wyprawy południowej miesiąc: sierpień, kiedy dojrzewają już na polach kawony i melony (osłoda życia żeglarskiego).

Jak porozumiewać się z tubylcami? — tego samo życie uczy. Słownik układa się już przy pierwszem lądowaniu. Nauczycielami języka są zazwyczaj dzieci; obsiadają tłumnie łódź i uczą. Siada naprzykład pierwszy lepszy bąk przedemną i dotykając nosa oznajmia: „Barnu" — już zrozumiałem.

Teraz ścisłe cyfry. Wydałem na wyprawę — licząc średnio — 150 zł. miesięcznie, w tem utrzymanie, dojazd koleją, powrót koleją i statkiem do kraju. Wyprawa trwała cztery i pół (4½) miesiąca, w dwóch ratach, do Stambułu i od Stambułu, a więc:

I-sza rata. Rzekami Orawa, Wag, Dunaj poprzez Czechosłowację, Węgry, Jugosławię, Bułgarję, Rumunję do morza Czarnego, morzem Czarnem, Bosforem do Stambułu.

II-ga rata. Koleją i statkiem do Stambułu i stamtąd kajakiem przez morze Marmara, Dardanele i morze Egejskie do Aten.

Mały koszt wyprawy zawdzięczam gościnności południowych narodów i małowyszukanem menu, jakie tam można znaleźć.

Na takie „grosze" może sobie pozwolić każdy oszczędny urzędnik, więc poco wielkie, tragiczne gesty, poco szumne słowa, jakie słyszę wciąż: „ach panie, jaki pan szczęśliwy! zazdroszczę panu podróży! ach gdybym miał pieniądze!"... i t. d.

Niepotrzebne też do takiej wyprawy specjalne umiejętności, treningi wioślarskie i t. p. „akademje". Regatowy wioślarz-dygnitarz o stu medalach, z całą pewnością kilkakrotnie zostanie zatopiony wraz z łodzią, przy lądowaniu na morski brzeg, nim go nowe warunki życia nie nauczą nowych, nieznanych sztuczek.

Tu szanse laika i mistrza są jednakowe! Przy odpowiedniej ostrożności i sportowym sprycie żadna turystyczna wyprawa kajakiem nie jest niebezpieczna. Rodzice mogą być spokojni, puszczając swych jedynaków — uczniów szkół średnich w daleką, emocjonującą podróż.

Plagą rozwoju turystyki są sami turyści, bowiem chcąc podkreślić swoje wielkie bohaterstwo, opowiadają po powrocie z wyprawy niestworzone o niej rzeczy. Każdy mały spad wody wyrasta w ich słowach do wielkości Niagary, a mała morska fala przy słonecznej pogodzie nazywa się „Sztormem".

Nie powinni próbować wyprawy tylko piecuchy, wygodnisie pierniatowi i kawiarniani lalusie — tym pozostawiam slipingi — są znacznie „miększe w siedzeniu".

Uwaga: Chętnie służę bliższemi wskazówkami, mieszkam: Warszawa, ul. Ks. Skorupki 4-10.

Phm. St. Szymborski.

Szlakiem Dunaju.

Korzystamy chętnie z grzeczności, a w trakcie rozmowy dowiadujemy się, że student ów był niedawno w Warszawie czas dłuższy i zachował miłe wspomnienia.

Belgrad robi wrażenie stolicy państwa młodego, państwa, które swemu reprezentacyjnemu miastu chce nadać wyraz nowoczesny i wspaniały. Gmachy państwowe, nowe ulice budowane są z rozmachem a nawet przepychem. Wszędzie widać robotę nieukończoną jeszcze, ale rozpoczętą na szeroką skalę. Przez to rzuca się w oczy kontrast między wyglądem przedwojennym i dzisiejszym. Ten kontrast nie ogranicza się do budynków i ulic, widać go i u ludzi. Są tu trzy typy mieszkańców: powojenni, przedwojenni i... emigracja rosyjska. Powojenni, to przeważnie złota młodzież, strojna według wymogów ostatniej mody. Szczególnie młode kobiety robią wrażenie przesadnej elegancji. Jakże krańcowo przeciwnie rzecz ta przedstawiała się w Wiedniu. Obok nich typy starszych generacyj. Wspominałem o emigracji rosyjskiej. Jest ona bardzo liczna, utrzymująca swój odrębny charakter, własną prasę, restauracje, lokale i jak zwykle rozbita na liczne ugrupowania i partje nawzajem zaciekle się zwalczające. Widok Polaków był dla nich sensacją polityczną. Zasypywano nas pytaniami, żalono się i prawie zawsze oczerniano nam swych politycznych przeciwników, zresztą swoich rodaków, z którymi nierzadko przed chwilą właśnie rozmawialiśmy i dosłownie to samo usłyszeliśmy o drugiej stronie. Sprzykrzyło się nam to i pożegnaliśmy ich starannie unikać.

Miły wieczór spędziliśmy w klubie polsko-jugosłowiańskim, podejmowani czarną kawą przez prezesa, pana Burhardta. Tu po raz pierwszy w ciągu podróży oglądamy świeże pisma polskie, a w jednem z nich ilustrację, przedstawiającą naszą grupkę i wzmiankę o dziejach dotychczasowych naszej wędrówki. Tu uzupełniamy swoje spostrzeżenia odnośnie mieszkańców i miasta. Najstarszą dzielnicą, z której powstało dzisiejsze miasto, wzniesioną jeszcze przez Rzymian, a w międzyczasie przerobioną przez Turków, jest Kalemagdan. Jako ciekawy zabytek zachował się tu do dziś zamek rzymski, spełniający obecnie rolę instytutu geograficznego. W wolnych od zwiedzania chwilach korzystamy z jedynej okazji, aby wysłać listy do kraju, lub gospodarzom przystani opowiadamy wrażenia. W trakcie rozmowy dowiadujemy się szczegółów dotyczących Żelaznej Bramy. Dotychczasowa nasza nieświadomość przeradza się w żywe zainteresowanie. Gospodarze, zresztą wypróbowani żeglarze, wyrażają obawy, czy uda nam się temi łodziami przejechać niebezpieczny odcinek, że oniby się nie odważyli i nam radzą przenieść nasze łodzie brzegiem kilkaset kroków, niż narazić je na strzaskanie, a może i siebie również. (C.d.n.)

Zbiórka alarmowa.

Obrazek sceniczny z życia harcerskiego w 3 aktach.

(Dokończenie.)

AKT III.

Scena przedstawia tę samą izbę harcerską co w I akcie.

Scena I. Inka i Basia. Inka siedzi, Basia kręci się po izbie; rozmawiają.

Inka: Wiesz Basiu, nigdybym się nie spodziewała, że nam Nika urządzi zbiórkę alarmową w taką niepogodę i akurat w środę, gdy mamy tyle roboty w szkole.

Basia: Ja ledwo Mamusi wytłumaczyłam, że zbiórka alarmowa to strasznie ważna rzecz i że muszą lecieć, żeby się nawet paliło.

Inka: No Tobie jeszcze pół biedy — Ty mnie zawiadamiasz, to tuż obok ciebie mieszkam, ale ja musiałam gnać do Leny na drugi koniec miasta.

Basia: Ale ja lubię takie niespodzianki — przynajmniej .....

(wchodzi Nika, dziewczynki wstają).

Scena 2. (Inka, Basia, Nika.)

Nika: Czuwaj!

Inka, Basia: Czuwaj!

Basia: Niko, coś ty dziś urządziła, powiedz nam, czemu ta zbiórka alarmowa, bo już nie możemy wytrzymać z ciekawości.

Nika: A cóż, czy nie mogę was bez specjalnej przyczyny zwołać, by przekonać się o waszej sprawności i wyrobieniu?

Inka: Ale ty napewno masz jakiś powód...

Basia: Może ćwiczenie na mieście?

Inka: Brrrrr... w taki deszcz

(wchodzą: Lena, Zosia)

Lena, Zosia: Czuwaj! Czuwaj!

Lena: Jesteśmy — jeszcze 3 minuty do piątej, więc chyba nie spóźnione.

Nika: Tylko Verki brak

(wchodzi Vera)

Vera: Czuwaj! Ho! Ho! już wszystkie zebrane — ja ostatnia

(zdejmuje płaszcz i czapkę)

Nika: No to zaczynamy: zastęp- w szeregu zbiórka, odlicz kolejno — (po wykonaniu przez dziewczęta rozkazu, do stojącego zastępu) Dziewczynki! zwołałam was tu na zbiórkę na prośbę Very — ona wam powie o co chodzi. A teraz: rozejdź się! I siadajcie jak zwykle.

(Dziewczęta siadają wkoło zastępowej — Vera nieco na przodzie).

Vera: Pamiętacie przedwczorajszą zbiórkę — Nika mówiła nam, że oprócz codziennych dobrych uczynków, które spełniamy chcąc jako harcerki pomóc swemu otoczeniu, powinnyśmy jeszcze stale, wspólnemi siłami robić coś dobrego i pożytecznego, jednem słowem pełnić naszą służbę.

Zośka: Miałyśmy pomyśleć o tem do następnej zbiórki i poddać projekty...

Basia: No i ja już z góry wiem, że nic nie wymyślą...

Lena: A ja proponuję, żebyśmy jeździły na wozach po mieście i zbierały odzież dla bezrobotnych.

Nika: To projekt całkiem nierealny: nie mamy środków na to, a i wasze zajęcia szkolne stanęłyby na przeszkodzie, wreszcie mimo pięknego celu, wątpię czyby się zgodzili Wasi rodzice na taką wędrówkę po domach.

Inka: Ale przecież to Vera miała nam coś powiedzieć!

Vera: Więc widzicie — ja po tej ostatniej zbiórce byłam trochę zniechęcona, bo pomyślałam sobie, że przy naszych zajęciach szkolnych i harcerskich już niema czasu na jakąś większą pracę i że właściwie robimy wszystko, co do nas należy...

Basia: A może nawet więcej —.

Vera: I że my jesteśmy za młode i zbyt skrępowane przez obowiązki domowe i szkolne, żebyśmy się mogły porywać na jakieś wielkie prace społeczne.

Zośka: No ale co z tego wszystkiego?

Nika: Poczekaj Zosiu — pozwól jej skończyć

Vera: Wczoraj po nauce poszłam do tej nowej naszej koleżanki Ewy Szymkowskiej, która już od tygodnia nie chodzi do szkoły. Możebym nawet i nie szła sama, bo jakoś o tem nie pomyślałam, tylko mówiła nasza pani gospodyni klasy, żeby która poszła się zapytać, co się z nią dzieje, więc się ofiarowałam, bo blisko mieszkam. No i byłam tam. — Ewę zastałam zdrową, ale żebyście wiedziały jak ona nędznie mieszka! Jeden tylko pokoik, matka leży chora, oprócz Ewy jest jeszcze jej siostra całkiem mała, a ojca nie mają — nie żyje. Więc Ewa do szkoły nie chodzi, bo nie może chorej matki i tej małej samych zostawić. Nie mają służącej, ani nikogo...

Inka: To Ewa wszystko sama robi?

Vera: No teraz tak, jak matka chora.

Basia: To pewnie chcesz, żebyśmy tam chodziły sprzątać?

Vera (do Basi): Że też ty zawsze tyle musisz gadać! Ja już zaraz kończę. — Matka Ewy jes poważnie chora i musi iść do szpitala. Ale boi się naturalnie zostawić samą Ewę z Irką, więc z dnia na dzień całą sprawę odwleka. Ewa się tem okropnie martwi i namawia matkę jak może, no ale w końcu, jeżeli się jej nawet uda namówić p. Szymkowską na ten szpi al, to doprawdy nie wiem, co sama zrobi w domu i to mając tą małą siostrę pod swą opieką. Przecież ani mowy o chodzeniu do szkoły i to wogóle okropne być tak osamotnioną.

Zosia: A ja myślę że to bardzo przyjemnie być tak samej w domu — bez starszych.

Basia: Jabym cały dzień czytała książki, albo grała na fortepianie!

Inka: A ja robiłabym samotne wycieczki.

Lena: Eh! ja już tam wolę, żeby Mama była w domu. —

Vera: Przedewszystkiem Ewa nie może czytać książek, ani grać na fortepianie, bo tych rzeczy niema wcale w domu, a trudno chodzić na samotne wycieczki mając siostrę na opiece i dziurawe buty!

Basia: Skąd wiesz, że dziurawe?

Vera: Bo wiem i już — i wiem też, że gdybyście tam były u Ewy i rozmawiały z nią toby się Wam jej los nie wydawał taki przyjemny. —

Inka: One tylko tak naumyślnie gadają — napewno żadnaby się z Ewą nie zamieniła.

Vera: Tak — zamienić się z nią nie możemy, ale czyż nie możemy jej pomóc?

Lena: Ach naturalnie, że trzeba pomóc. — Tylko jak!

Vera: Więc posłuchajcie — ja już wszystko obmyśliłam — wiecie, że mam takie małe rodzeństwo, Jadzię i Stasia — oni chodzą do przedszkola i służąca codzień ich odprowadza. Więc Ewa idąc do szkoły rano przyprowadzi Irkę do nas i ona z naszemi dziećmi pójdzie do przedszkola, a potem w południe Ewa ją od nas zabierze. Teraz najważniejsze — Musicie poprosić rodziców, żeby Ewa codzień u jednej z nas była wraz z Irką gościem na obiedzie. W ten sposób nie będzie się męczyć gotowaniem i będzie miała czas na naukę, a raz na tydzień u każdej, to chyba rodzice się zgodzą. I potem ta, u której Ewa była na obiedzie pójdzie z nią do domu i będzie się z nią uczyć, pójdą razem na spacer, pomoże jej w robocie domowej, wogóle już do wieczora z nią będzie, żeby jej nie było smutno i ciężko. I tak codzien inna spędzi popołudnie u Ewy — zżyjemy się z nią i wciągniemy do naszego zastępu. Ona jest hercerką! Prawda Niko, że ją przyjmiesz?

Nika: No pewno, że przyjmę, tylko ją muszą zobaczyć wpierw.

Vera: (z coraz większym zapałem) Ona tu dziś przyjdzie za chwilę i musicie ją przyjąć serdecznie i zgodzić się na mój plan...

Lena: Ja się zgadzam. —

Inka: I ja!

Zosia, Basia: i ja! i ja!

Nika: Wszystkie się zgadzamy, bo plan jest dobry i myślę, że nie natrafimy na trudności w przeprowadzeniu go.

Vera: Więc ja was bardzo proszę, postarajcie się wszystkie, żeby się to udało — opowiedzcie w domu o położeniu Ewy i bądźcie dla niej dobre-

Basia: Ależ będziemy — nie bój się.—

Inka: No więc już rozumiem, poco ta zbiórka alarmowa. a ja myślałam, że znów będzie jakieś ćwiczenie z przebieraniem się i gonieniem po mieście.

Nika: Jednak przyznacie chyba, że zbiórka taka była konieczna.

Basia: No pewno, że konieczna, ale co to ma wspólnego z tą pracą społeczną, o której Vera tyle mówiła na początku zbiórki — przecież nic nie wymyśliła na ten temat!

Nika: Czy i wy wszystkie tak sądzicie?

(Dziewczynki spoglądają po sobie) i myślą chwilkę).

Lena: A ja myślę, że ta pomoc Ewie to też będzie praca społeczna taka o jakiej mówiłaś, bo wspólnemi siłami i stale będziemy pomagały Ewie i jej rodzinie, a to właśnie jest nasza „harcerska służba“.

Basia: To już nie trzeba nic wymyślać na następną zbiórkę? Verko — raz się na coś przydałaś!

Lena: A ja myślałam, że w mojem bliskiem otoczeniu nic zrobić nie będziemy mogły!

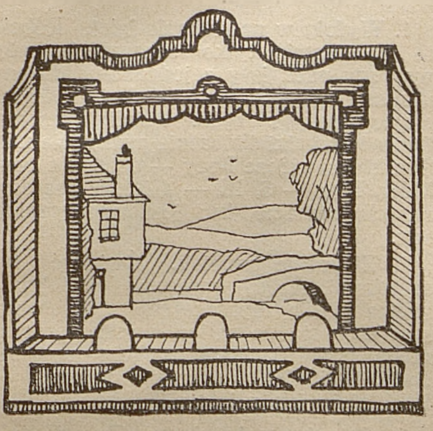
(Dokończenie na str. 12)

Teatr Marjonetek.

Teatr marjonetek zapewnia nie tylko mnóstwo uciechy, ale i posiadającej go drużynie wcale poważne dochody.

Przed publicznem jednak przedstawieniem należy troskliwie wypróbować wszystkie efekty sceniczne: oświetlenie, skład lalek i dekoracyj, wejścia i wyjścia ze sceny i doprowadzić to wszystko do niebywałej perfekcji.

Teatr taki nie trudno sporządzić sobie samemu.



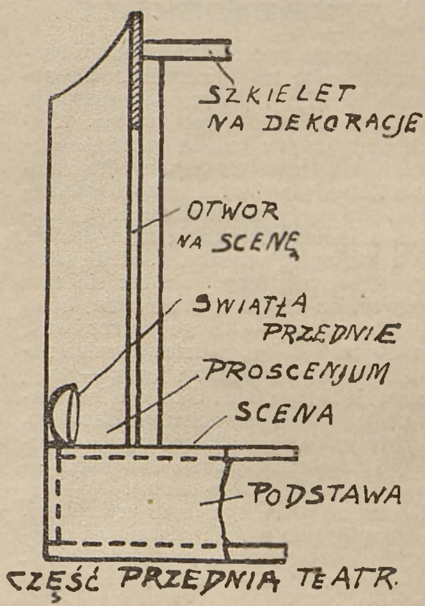
Scenę należy wykonać z deseczek twardego drzewa i przymocować do dostatecznie głębokiego pudła, by łatwo się było dostać do niej rękami. Scena składa się tylko z przedniej i bocznych części co umożliwi umieszczenie ruchomego tła oraz szeregu suchych bateryj, potrzebnych do efektów świetlnych.

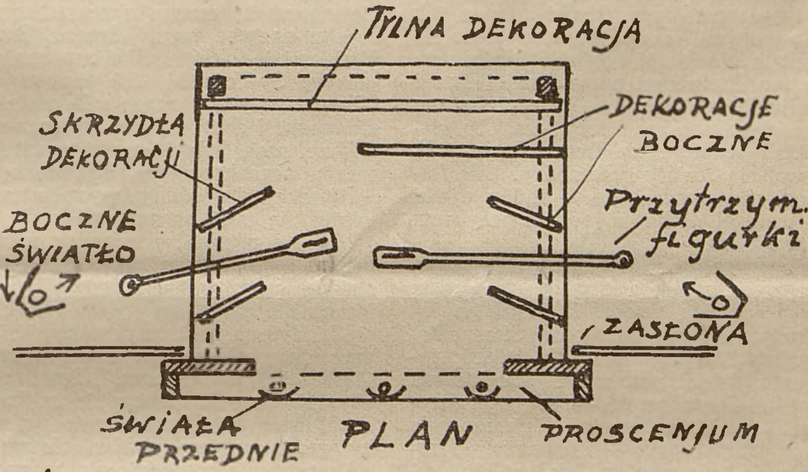
Przód sceny zajmie tzw. proscenium, umieszczone dostatecznie głęboko, aby zostało miejsce na umieszczenie świateł dolnych. To proscenium robi się też z dość twardego drzewa przy pomocy piłeczki i ozdabia się je.

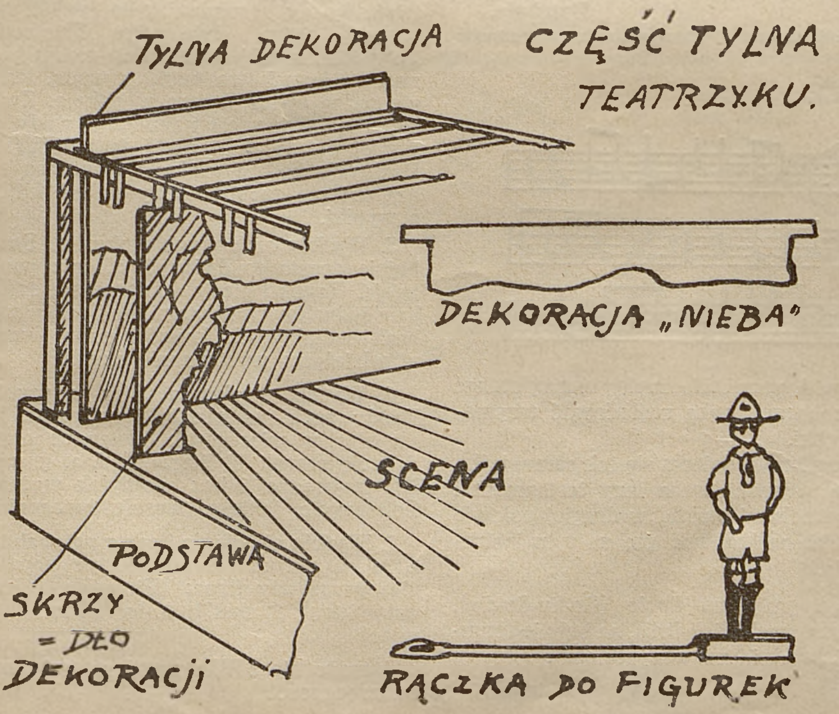
Dwa filarki umieszczone prostopadle w końcach podstawy służą do podtrzymania konstrukcji sufitowej, która ma utrzymywać zarówno tła, jak dekoracje boczne (skrzydła), a wreszcie górne tło, „niebo".

Dobry efekt perspektywiczny uzyskuje się przez pomalowanie powierzchni podstawowego pudła lekko połyskującemi linjami, które robią wrażenie desek.

Tło wykonuje się na dobrym papierze rysunkowym, naklejonym na tekturę. Maluje się je jaskrawemi farbami, nie wykańczając szczegółów zbyt drobiazgowo. Drzewa, jeśli mają służyć







jedynie za boczne dekoracje, maluje się jak tła i zgrubsza nacina po bokach. Inne kawałki, wypełniające scenę, jak mosty, groble, mury, poręcze i t. d. wykonuje się jak inne modele tego rodzaju. Figurki z twardej tektury umieszcza się i wprowadza na scenę na rączce, jak to nam pokazuje rysunek.

Zasłonę robi się z pięknej tkaniny i albo odwija się z góry na dół na wałku, albo robi się ją z dwu kawałków, materji, które przytwierdza się u góry trwale i podnosi na haki.

Oprócz świateł dolnych, proscenieznych powinny być pochowane za dekoracjami skrzydłowemi światła boczne. Doskonałe wrażenie wywołują światła kolorowe, przepuszczane przez barwne szybki, a choćby przez żelatynę (byle się tylko nie zapaliła!)

Operatorów poruszających lalkami i światłami trzeba sprytnie ukryć.

Na Tropie Zuchów.

O przezwiskach.

Ludzie mają swoje nazwiska, ale bardzo często używają przezwisk. Są nawet całe narody, które zupełnie nie mają nazwisk, a tylko się przezywają. Naprzykład u Indjan niema pana Abecadłowskiego a tylko jest Sokole Oko i niema pani Brzdękalskiej a tylko Lekkonoga Sarenka albo Czarna Jagoda. I przezwiska u Indjan nie nadają się byle jak, ale jak kto sobie zasłuży. Jeżeli jakiś chłopiec jest odważny, nie boi się sam w nocy iść do lasu, a w razie jakiej bójki nigdy nie płacze, — to go przezywają Lwie Serce. A jeżeli dziewczynka narzeka byle na co i płacze i jęczy — to ją przezywają Zapłakane Oko. Więc dlatego może Indjanie są dzielnym narodem, bo każdy stara się być mężnym, zwinnym, pogodnym, zdrowym, rycerskim — żeby zasłużyć na dobrą nazwę.

Tak samo w Polsce było z królami. Jak który był na wojnie odważny i mężny, to go przezywano Chrobrym, a jak miał cienkie nogi — to go przezywano Laskonogi.

I napewno Chrobry był zadowolony z przezwiska, a Laskonogi ciągle się złościł i było mu nieprzyjemnie, że go tak głupio nazwali. Bo co on winien, że się urodził z cienkiemi nogami? I jeszcze żeby ten Laskonogi przynajmniej starał się o jakiś wielki czyn, to możeby mu nadano inne, lepsze przezwisko, bo naprzykład jeden z królów, Bolesław II, nazywał się Śmiały i Szczodry. Ale Laskonogi nie postarał się o żaden wielki czyn i został tylko z jednem przykrem przezwiskiem.

Chłopcy też się często przezywają. Jedni po indyjsku a drudzy po polsku. Znałem jednego zucha, którego po indyjsku przezwano Czerwoną Skarpetką, a drugiego Białym Lisem. Ale daleko więcej jest polskich przezwisk Jak kto ma nazwisko Zegarkowski — to go przezywają Zegarek, Kotkowicza przezywają Kotem, Bogackiego — Bogacz a Szczekalskiego — Szczeniak. Jak jest kto wysoki — to go przezywają Tyczką albo Wykrzyknik, garbatego — Garbus, rudowłosego — Rudy albo Pali się, złodziejaszka — Smoła, a takiego co się zna na samolotach — Lotnik.

Jedne przezwiska są bardzo przyjemne. Napewno Lotnik, Dzięcioł, Bokser — lubią swoje przezwiska i cieszą się, gdy ich się głośno przezywa. Każdy chłopiec chciałby mieć ładne przezwisko.

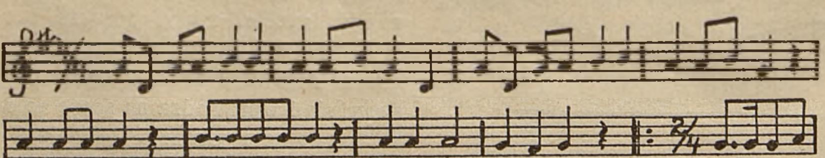
Ale są przezwiska które wstydzą. Naprzykład ten, co go nazywają Szczeniak, napewno jak idzie z rodzicami albo z jaką dziewczynką i zobaczy biegnących naprzeciwko kolegów, to modli się, żeby go nikt nie przezwał. Są przezwiska, które krzywdzą i upokarzają. Jak okropnie krzywdzącem jest nazywać się Garbusem, albo Jąkałą, albo Kosookim, albo Rudzielcem.

Każdy zuch musi dobrze znać się na przezwiskach. Bo chłopiec bez przezwiska nie może być na świecie. I wszystkie zuchy też muszą mieć swoje przezwiska. Tylko każdy powinien się starać tak postępować, żeby zdobyć jaknajładniejsze przezwisko. Można nawet na zbiórkach, w Kręgu Rady, naradzać się czasami jak kogo przezwać. Jak kto źle postępuje, to można go, ale tylko na krótko, przezwać przezwiskiem ostrzegającem, żeby się poprawił; można naprzykład po indyjsku nazwać kogo Brudne Buty lub Plujący się Felek albo zwyczajnie po polsku: Spóźnialski lub Beksa. Tylko gdy wszyscy zobaczą, że Beksa przestał się mazać i dostrzegą na ćwiczeniach, że dobrze umie włazić na drzewa, to go trzeba przechrzcić na Wiewiórkę.

I jeszcze dla jednego powodu zuch powinien się znać na przezwiskach: żeby nigdy nie używać przezwisk upokarzających albo zawstydzających. Bo to paskudna rzecz robić komuś przykrość i zuch nie może być takim. Więc musicie kiedyś na zbiórce postanowić i przyrzec, żeby nigdy nikogo nie przezywać Garbusem, Rudzielcem, Smrodziarzem albo Parchem. Gdyby się znalazł jaki zuch, który tak ordynarnie przezywa kolegę, to wszyscy powinniście mu zwrócić uwagę, że postępuje nie po zuchowemu.

Bambaju.

Muzykanci.



Jest to doskonała piosenka dla gromad zuchowych. Zaczyna ją śpiewać jeden zuch, a wszyscy za nim powtarzają.

Solo: Jestem muzykantem i komedjantem
Chór: My muzykanci komedjanci
Solo: Ja umiem grać
Chór: My umiemy grać
Solo: Na trąbce
Chór: Na trąbce
Chór: Tra—ta—ta—ta—ta—ta— (aż do końca melodji).

Owo Tra—ta—ta śpiewa się naśladując trąbkę. A wszystkie zuchy muszą stanąć jak trębacze i ręką naśladować trzymanie trąbki.

Inne zwrotki śpiewa się tak samo, tylko w grę wchodzi coraz inny instrument i zuchy ruchami muszą, w drugiej połowie piosenki, naśladować grę na tym instrumencie.

Więc grają na flecie (fiu-fiu-fiu-fiu), na skrzypcach (firli-firli), na bębnie (bum-bum-bum...) i „na wszystkiem"!

Bambaju.

Ćwiczenia zręczności.

Jest rzeczą bardzo ważną, żeby każdy chłopiec był spryciarzem i majsterklepką. Chłopcy niedołężni i niezdarni są nieszczęśliwi i przykrzy dla otoczenia. Żeby zaś być zręcznym, trzeba się w zręczności ciągle ćwiczyć.

Druh Adam Dźwikowski z Poznania zebrał kilka bardzo prostych ale ciekawych ćwiczeń zręcznościowych. Spróbujcie je u siebie przerabiać. Ciekawy jestem, czy będą Wam się podobały i czy wzrośnie od nich zręczność waszych palców, oczu i rąk.

1. **Wyścig w nawlekaniu igieł.** Róbcie to szóstkami, tylko sprawdźcie, aby wszyscy mieli igły z jednakowo dużemi uszkami i jednakowo grube nitki. Ćwicz cie to 6 razy z rzędu. Jeżeli Was jest 7-miu to wyniki ćwiczenia punktujcie tak: Ten kto nawlecze I-szy — dostaje 6 punktów, II-gi — 5, III — 4 itd. Po sześciu razach poznacie, kto jest najzręczniejszy.

2. **Zbieranie zapałek.** Ćwiczyć też szóstkami. Każdy musi mieć pudełko z równą ilością zapałek (naprz. 20). Rozsypujecie się po sali a szóstkowy rozrzuca przed każdym zuchem jego zapałki. Gwizd! Kto pierwszy zbierze? — Punktujcie jak z igłami.

3. **Gatunkowanie ziaren.** Zróbcie tyle paczek z różnemi znanemi ziarnami, ile jest chłopców w szóstce. Ale ziaren każdego gatunku musi być jednakowa ilość, żeby każdy zuch miał jednakowe szanse wygrania. Więc możecie zmieszać naprzykład: 10 ziaren grochu + 7 ziaren fasoli + 5 ziaren żyta + 12 ziaren kukurydzy + 8 ziaren pieprzu. Szóstkowy rozsypuje tę mieszaninę ziaren przed każdym zuchem i na gwizd robicie wyścigi w rozdzielaniu ich według gatunków. Ćwiczcie też 6 razy i nie zapominajcie punktować.

Ziarna dostaniecie za parę groszy w każdym sklepie spożywczym.

4. **Przelewanie wody z naczynia do butelek.** Każdy rozumie jak to zrobić. Nie potrzeba opisu. Byle tylko buteleczki były jednakowej wielkości u każdego zucha i jednakowe kubki z wodą. No, i nie radzę ćwiczyć tego w pokoju. Zwycięża ten, kto wleje najwięcej wody do swojej buteleczki i zrobi to najprędzej. Punktacja będzie trudna i zawczasu radzę ostrzec zuchów, żeby się nie kłócili o wyniki.

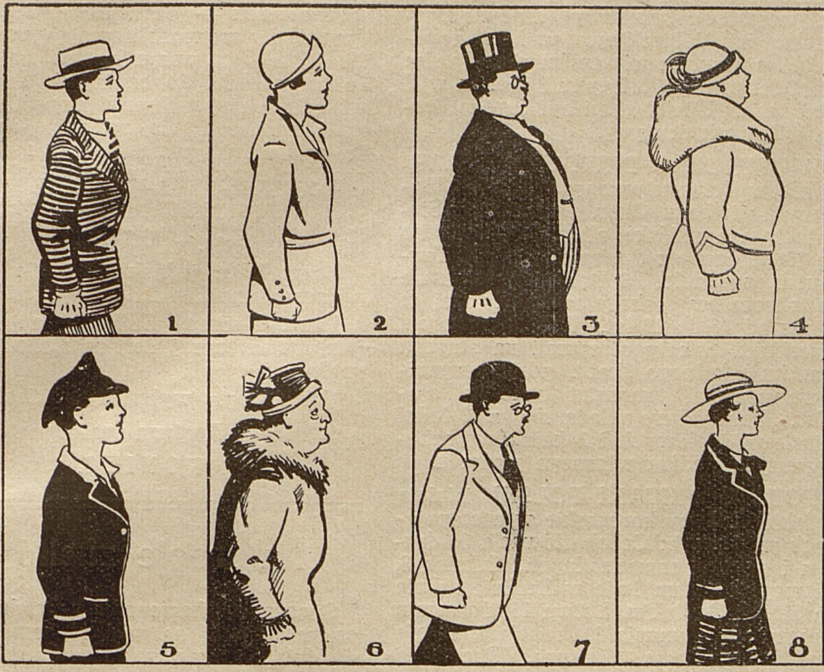
5. **Wyścig sznurowania obuwia.** Spróbujcie często to ćwiczyć, ale nie punktujcie. Rzadko kiedy dobierze się szóstka z jednakowemi butami. No i supły oraz brak metalowych końców sznurowadeł utrudniałyby wyrównanie szans.

6. **Wyścig wycinania liter z gazety.** Każdy zuch ma gazetę i nożyczki. Instruktor w miarowych odstępach czasu dyktuje powoli 10 liter: „E, f, a, g, z...". Kto najprędzej i bez pomyłek wytnie? Zobaczycie, jakie to wesołe ćwiczenie!

7. **Wyścig układania figur z patyczków.** Zamiast patyczków mogą być zapałki. Oto przykłady figur: Piramida, okno, człowiek (schemat!), koło, półka, latawiec!

A może kto z Was zna inne ćwiczenia na zręczność?

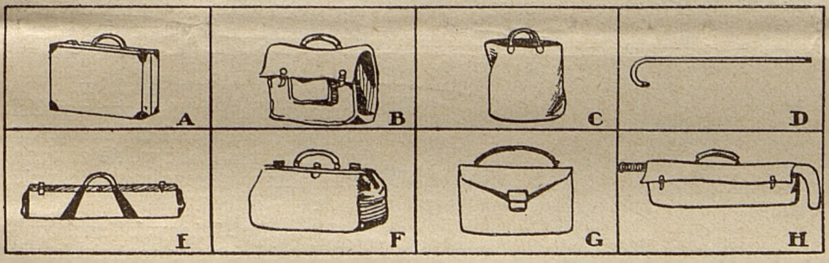
Konkurs.



Oto 8 interesujących osób. Każda z nich gdzieś się spieszy: do biura, na zakupy, do szkoły; każda niesie w ręku jakiś przedmiot — jeden z ośmiu uwidocznionych poniżej. Cała trudność to odgadnąć, czy przybory do golfa niesie chłopiec, czy też pan w sportowem ubraniu? — a czyja jest teczka?

Odpowiedzi, wraz z podaniem adresu i wieku rozwiązującego konkurs, przesyłać należy do dnia 3-go marca.

Między tych, którzy nadesłali dobre rozwiązania, zostanie rozlosowana piękna, ilustrowana książka **Zofji Kossak-Szczuckiej** p. t. **„Lupus i Topsy"** (drukowana w „Na Tropie" p. t. „Przyjaciele"), oraz 5 nagród pocieszenia.



(„The Guide").

Tropienie.

Jest jeden dział ćwiczeń harcerskich, wyjątkowo upośledzony na naszych zbiórkach. **Tropienie.** Niby są wymagania na stopnie harcerskie, jest w książkach harcerskich parę artykułów o tropach, są nawet dwie specjalne broszury, ale wszystko razem nie ma wpływu na codzienne szkolenie harcerzy. Nikt nie wie, jak się właściwie do tego tropienia zabrać. Na kursach tego działu się ni uczy, prawdziwych podręczników na ten temat niema. Jedyną naprawdę znaną grą tropicielską, jest tropienie zająca za rozrzuconemi papierkami.

Czytelniku — uwaga! Śnieg pokrył pola i ulice, jest najlepsza pora na tropienie. Codzień, na każdej zbiórce musi być tropienie. Tylko nie bawcie się w niemądre rysowanie tropów niedźwiedzi, dzików etc. Zacznijcie od abecadła tropicielskiego — od tropienia najłatwiejszych i celowo pozostawianych śladów ludzkich. Sami ułóżcie sobie roztropny program i pamiętajcie, że przedtem nim człowiek trafi na uniwersytet jest w gimnazjum, że gimnazjum ma 8 coraz trudniejszych klas i, że przedtem nim się przyjdzie do 1-ej klasy, trzeba umieć dobrze czytać. A nauka czytania jest mozolna, trudna i zaczynająca się najpierw od liter a, o, i, i od wyrazów: mama, lala, tata.

Ułóżcie sobie sami program abecadła tropicielskiego i na tę zimę ćwiczcie się tylko w nauce najłatwiejszych i najprostszych rzeczy. Każda harcerka i każdy harcerz musi dążyć do tego, aby innemi oczyma patrzeć na ziemię, niż przeciętny mieszczuch. **A. K.**

Rozwiązanie konkursu „kodakowego".

Konkurs ten przyniósł silne zainteresowanie wśród naszych prenumeratorów, o czem świadczą najdobitniej liczne wycinki czeków konkursowych, leżące przede mną. W wyniku losowania nagrody w postaci apartów fotograficznych przypadły w udziale druhowi **Strzale z Chrzanowa**, druhnie **Woźniakównie** z **Kielc** i druhnie **Skąpskiej z Poznania.** Tych więc troje szczęśliwców niech się spodziewa od nas za 10 dni paczki.

Redaktor ma głos.

W drżącej jeszcze z osłabienia dłoni staram się utrzymać pióro... Ach, co to była za epidemja w „Na Tropie". Troje członków Redakcji i administratorka równocześnie powaleni zostali przez grypę! A więc wszyscy prawie „robiący" „Na Tropie" (bo piszących jest dużo, ale „robiących" pismo jest tylko kilkoro), znaleźli się w łóżkach w okresie najgorętszej pracy nad numerem. To pech dopiero! Gdyby więc gdzieś numer spóźnił się o dzień, prosimy łaskawie naszych prenumeratorów o względy, jakich nie miała dla nas choroba...

A do tego grypa uważała za właściwe szaleć wśród nas wtedy właśnie, gdy mamy tak wiele pracy z przygotowaniem **specjalnego numeru** poświęconego idei współżycia międzynarodowego harcerek. Numer ten będzie zawierał wiele niespodzianek, m. in. list lady Baden Powell do polskich dziewcząt, przesłany do „Na Tropie", artykuł wstępny dhny Małkowskiej, artykuł wice-przewodniczącej Z. H. P. dhny Śliwowskiej, wywiad komisarki międzynarodowej — dhny de Callier, wiele pięknych fotografij i t. p. Numer ten, zaopatrzony w résumé w j. francuskim, rozesłany zostanie do wszystkich organizacyj zagranicznych.

Zanim jednak ten interesujący numer ukaże się, „Na Tropie" przedstawia Wam **nowe swe wydawnictwo.** Jest to **„Zastępowy"**, miesięcznik przeznaczony dla drużyn szkół powszechnych, który „Na Tropie" uruchomiło z inicjatywy Naczelnika Głównej Kwatery Harcerzy. „Zastępowy" będzie się ukazywał 10-go każdego miesiąca w objętości 4-ch stron formatu „Na Tropie". Prenumerata „Zastępowego" łącznie z „Na Tropie" wynosi 7 zł. rocznie, 3 zł. 50 gr. półrocznie i 2 zł. 10 gr. kwartalnie. Prenumerata „Zastępowego" oddzielnie wynosi 1 zł. 50 gr. płatne za cały rok z góry.

Druhny i Druhów, którzy proszą o umieszczenie streszczenia z powieści „Przyjaciele", zawiadamiamy, że powieść ta w przyszłym numerze kończy się już. Nie ma więc celu streszczenie w kilku wierszach całej powieści dla ostatniej jej strony. Kogo ta powieść specjalnie zainteresowała — może nabyć ostatni rocznik „Na Tropie" w Administracji. Zapowiedziana powieść prof. Siedleckiego p. t. „Jawa" rozpocznie się natychmiast po ukończeniu druku „Przyjaciół".

Wszyscy to przeczytajcie! — bo dotyczy to wszystkich, a szczególnie tych, którzy mają do nas jakieś pretensje. Przykro nam bowiem bardzo, gdy dowiadujemy się, że ktoś, mimo zapłacenia, **nie otrzymuje pisma.** W ostatnich czasach kilka osób zawiadomiło nas o takiem nieszczęściu. Administracja ręce łamie i przedstawia niezbite dowody, że jest niewinna. Czyżby więc poczta?... Chyba nie. Trzeba jednak dojść źródła tych nieporządków. Prosimy więc wszystkich, aby w razie nieotrzymania numeru **natychmiast** reklamowali na poczcie i w Administracji. Z zeszłorocznego doświadczenia wiedzą już nasi prenumeratorzy, że **„Na Tropie" wychodzi punktualnie 10-go i 25-go każdego miesiąca,** wobec tego opóźnienia w doręczaniu numeru nie są z winy Administracji.

Na harcerskim szlaku.

W PROGRAM TEGOROCZNEJ PRACY I. Żeglarskiej Drużyny Harcerskiej h. St. Czarneckiego w Tarnowie weszło: wzięcie udziału w Jamboree wodnem, (Drużyna reprezentować będzie Chorągiew), rozbudowa taboru, urządzenie obozu wędrownego - żeglarskiego i budowa przystani. Prace przygotowawcze już rozpoczęliśmy nie przerażając się brakiem gotówki.

CHORĄGIEW HARCEREK w Krakowie odbyła dwa kursy zimowe: narciarski w Milówce pod kierunkiem dhny Orłowiczówny, oraz zuchowy w „Dworku Cisowym" prowadzony przez dhnę Malinowską. (D)

ODPRAWA HUFCOWYCH harcmistrzów Chorągwi Poznańskiej odbyła się w dn. 2. II. br. Dh. Naczelnika reprezentował hm. Bublewski. Na zlocie wodnym Poznań ma być nadzwyczaj „mocno" reprezentowana przez drużynę żeglarską „Wilków Morskich", która wystąpi przy udziale 100 harcerzy na 28 kajakach, oraz innych większych łodziach. Prace przygotowawcze do zlotu są w pełni.

Z WARSZAWY telefonują nam, że akcja przygotowawcza do zlotu wre. Drużyny stołeczne zapamiętale trenują „crawla" w krytej pływalni Kasy chorych. — 39-ta Drużyna Żeglarska prowadzi kurs wiedzy żeglarskiej dla harcerzy chor. warszawskiej, oraz zorganizowała bibljotekę morską, z której korzystać mogą harcerze z całej chorągwi.

PŁOCK usilnie pracuje, aby godnie prezentować swój „gród" na zlocie wodnym. Dh. Hufcowy hm. Kulesza energicznie realizuje program przygotowań.

WILNO staraniem dh. hm. Kohutka przy udziale członków „Błękitnej Jedynki" prowadzi kurs żeglarski, który liczy 32 uczestników.

DNIA 7 LUTEGO b. r. odbył się „apel morza" zorganizowany przez wszystkie drużyny żeglarskie Rzeczypospolitej.

Ta propaganda morska, na jaką w harcerstwie zwrócono specjalną uwagę, wymownie świadczy, że w programie prac drużyn zagadnienia „morza polskiego" zostały uwzględnione i że harcerstwo całkowicie docenia ważność powyższego zagadnienia.

DNIA 31 STYCZNIA 1932 R. W TCZEWIE odbyła się odprawa Hufcowych Chorągwi Pomorskiej. Odprawa powyższa zgromadziła 23 druhów reprezentujących poszczególne środowiska. Odprawie przewodniczył komendant Chorągwi Pomorskiej. Naczelnika Głównej Kwatery reprezentował hm. Bublewski. Odprawa specjalnie poświęcona była zlotowi wodnemu i Chorągwi Pomorskiej.

„WIELKA REWJA HARCERSKA" — pod tym tytułem drohobyckie hufce harc. żeński i męski urządziły w sali „Sokoła" przedstawienie, które wypadło nagół b. dobrze. Publiczność drohobycka była zadowolona z „Rewji". Dochód przeznaczono na bezrobotnych. (J. O.)

ZBUDOWAŁA SCENĘ i urządziła na niej wieczorek jasełkowy drużyna harcerska im. Sobieskiego w Mikuszowicach. Na program wieczorku złożyły się: chór, deklamacje, orkiestra i jasełka w II odsłonach. Udział gości był bardzo liczny. (Członek drużyny.)

WIZYTACJĘ 3 DRUŻYNY ŻEGLARSKIEJ w Toruniu przeprowadził dh. Bublewski i kom. Chor. Pomorskiej Sieradzki. Na zbiórkę alarmową stawiło się 12 harcerzy z drużynowym dh. Turganem na czele. 3 Drużyna rekrutuje się z uczniów szkoły rzemieślniczej w wieku od 16 do 19 lat. Dzięki poparciu Dyrektora Szkoły otrzymali na strychu gmachu szkolnego „kąt", gdzie zorganizowany został warsztat budowy kajaków. Tabor d-ny składa się z 2 łodzi wiosłowo-żaglowych i 2 kajaków wybudowanych według własnego pomysłu.

POZA GRANICAMI POLSKI istnieją żeńskie drużyny harcerskie w następujących państwach: Czechosłowacja 30 drużyn i gromad samodzielnych, Gdańsk 3, Niemcy 4, w tem dwie w Berlinie i dwie na Śląsku Opolskim, Łotwa 11, dwunasta tworzy się, Rumunja 2, Francja 8, Belgja tworzy pierwszą drużynę. Razem 60 drużyn. (J. T.)

872 HARCERZO - DNI spędzili na wycieczkach i kursach narciarskich harcerze Chorągwi Warszawskiej w czasie feryj Świąt Bożego Narodzenia. Oprócz kursu zorganizowanego w Bukowinie przez K. Ch., kursy względnie wycieczki urządziły 2, 3, 16, 23, 28, 39 i 40 W. D. H. (Matuszewski).

9 PAR NART wyprodukowano w harcerskich warsztatach w Bytkowie.



Bucze jest właścicielem pięknego, białego konia. Widzimy go na zdjęciu pod druhem Miodońskim.

Zbiórka alarmowa.

(Dokończenie ze str. 8)

Nika: Tak — Vera najpierwsza dała dowód, że zrozumiała moją gawędę — ale teraz gdy wszystkie już połęłyście że sposobności do czynu nie szuka się wśród nadzwyczajnych przygód i zdarzeń, może też nie będziecie uważały, że w naszych warunkach nie dobrego zrobić nie można i częściej dostrzeżecie ludzką niedolę, tuż pod waszym bokiem, której nawet przy dobrej woli zaradzić możecie.

Lena: Więc jednak Niko, nie żądałaś od nas niemożliwości!

Vera: I pomyśl Zośka — a ja mówiłam przedwczoraj, że i na słońcu są plamy!

(Dziewczęta wybuchają śmiechem.)

Kurtyna spada.

KONIEC.

Na tropie zuchów.

Sprawy zuchowe zajęły bardzo wiele czasu i uwagi na wielkim grudniowym zjeździe instruktorskim chorągwi krakowskiej. Programowy referat wygłosił dh. hm. A. Kamiński. Ciekawem jest, kiedy inne chorągwie zajmą się szerzej zuchami?

Trzy szkoły powszechne żydowskie w Krakowie proszą o założenie u nich gromad zuchowych.

Gwiazdka zuchów warszawskich odbyła się 10 stycznia br. Święty Mikołaj rozdał zuchom słodycze, Ks. Jan Mauesberger wygłosił do nich zuchową gawędę, druh Bambaju opowiedział bajkę, a same zuchy urządziły różne pokazy.

Obóz zimowy zuchów prowadzony przez druha Pytlińskiego pod Zakopanem cały dzień spędzał na saneczkach i nartach. Podobno wszystkie zuchy (było ich czternastu) nauczyły się jeździć na nartach.

Gromady „leżących" zuchów są w Anglji. Istnieją one w szpitalach, gdzie chore dzieci muszą leżeć w łóżkach. Gromady te bawią się w dużo ciekawych gier, a gry są tak obmyślone, że nie potrzeba do nich wstawać z łóżka. **K.**

O Centralnym Kursie Instruktorów Zuchowych na Buczu, w sierpniu br. wysłała Główna Kwatera Męska listy do wszystkich Komend Chorągwi.

Kilkudniowy Kurs dla drużynowych zuchów Śląskiej Chorągwi Harcerek odbył się na Buczu podczas małych wakacyj.

Mundur zucha zaczęła opracowywać specjalna Komisja.

Legitymację zuchową wydaje CKDH w Warszawie, Traugutta Nr. 2.

Prenumerata „Na Tropie": z przesyłką pocztową rocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1.80 zł., miesięcznie 80 gr. Cena numeru 40 groszy. Należytość za prenumeratę należy uiszczać z góry. W braku pisemnego odwołania prenumerata obowiązuje nadal. W sprawie ogłoszeń należy zwracać się do Administracji. **Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski". Konto w P. K. O. Katowice Nr. 305 330.**

W skład Komitetu Redakcyjnego wchodzą: Olga Grzbielowa, Marja Kapiszewska, Zofja Tworkowska, Jadwiga Laszczka-Wierzbiańska, Witold Bublewski, Jan Grzbiela, Aleksander Kamiński, Henryk Kapiszewski, Marjan Wierzbiański.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.
Odbito w Drukarni Śląskiej Sp. z o. o., Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.